

Zachwyty.

To dziwne słowo pobrzmiwa gdzieś w swoim wnętrzu (o ile słowa mają wnętrza) uchwyceniem, pochwyceniem, jakimś chwytnością, braniem lub byciem brany w posiadanie. Być zachwyconym, to poniekąd dać się zaczarować do tego stopnia, że cała moja uwaga bezbrzeżnie koncentruje się na obiekcie uwagi. Jest rzeczą dość łatwą rozpoznać człowieka stojącego przed dziełem sztuki, czy pięknym krajobrazem w stanie zachwyty, gdyż taka osoba nie należy z nami do wspólnej przestrzeni, jest eksterytorialna, otoczona „horyzontem zdarzeń” poza który nie przedrze się ni drobina z jego świata. Zachwyty, to też stan jakiegoś zatopienia w czeluściach myśli, podążających za obiektem swoich fascynacji. Gdzieś w tym wszystkim pobrzmiwa podobieństwo do stanu zaczarowania, w którym cały nieogarnięty w swej wielkości i zróżnicowaniu wszechświat, kondensuje się w tym jednym swoim fragmencie. Obiektem zachwyty bywają rzeczy wielce byle jakie: muszelka, kamyk, listek, kryształki śniegu, dziecięce bazgroły, fraza kilku dźwięków lub nawet cisza, fraza kilku słów i ich nieuchwytna melodyka, pustka pola lub wody.

Zachwyty stawia obserwatora w podległości względem obiektu adoracji, nie pozwala nad nim zapanować, zmusza nas raczej do wśluchiwania się, niż gadania, raczej do zadawania pytań, niż pouczenia, czyni więc nas uczniami a nie nauczycielami. Jest w stanie zachwyty jakiegoś „prymarne zadziwienie” i związana z nim bojaźń. Czyżby to było istotą słów Króla Salomona: „Początkiem mądrości jest bojaźń Pańska”, jako figura wszelkich ludzkich usiłowań zrozumienia istoty rzeczy?

Zachwyty, te wnyki zastawione na ludzi, którzy nigdy nie przestają być dziećmi, leży u podstaw postawy twórczej Doroty Pietrzyk. Bezsprzecznie stanowi „*primum mobile*” jej artystycznych poszukiwań. W jej pracach na pewno nie znajdziemy ani krytyki ludzkich zachowań, ani utyskiwań na mozolność człowieczych losów. Uczynimy kilka kroków podążając za artystką na ścieżce codziennej pracownianej roboty.

Dorota utkała szyszynkę.

Coś pomiędzy pajęczyną a mentalną siatką konstrukcji muszli. Praca to tak delikatna, że boję się do niej zbliżyć, żeby nie zniszczyć jej struktury. Cienkie niteczki, kawałki muślinów, wysmakowane kolory, ale przede wszystkim powietrze i niesione nim światło, budują tę poetycką opowieść o harmonii kształtów, wielkości i faktur. Zachwyca swym beużytecznym pięknem i delikatną skromnością, jak myśl szalonego architekta-jubitera, który nie może się zdecydować, czy tę myśl przekuć w gotycką katedrę, czy ażurową broszkę. Pytam Doroty, skąd zaczerpnęła inspirację, a ona mi mówi: „to jest przekrój hipokampa widziany pod mikroskopem. Tamten „kwiatostan”, to szyszynka. A tutaj popatrz, to jest trzustka. Piękna, prawda?”

Czar prysł. Na ułamek sekundy, żeby zrobić miejsce nowemu zadziwieniu nad doskonałością rzeczy i nad niespodziewanymi miejscami, w których załęga się piękno. Wnętrze ludzkiego ciała, jego trzewia i limfatyczne płyny, ukazywane przez scholastycznych moralistów jako ohyda zwierzęcości, dla Doroty jest niewyczerpanym źródłem zachwyty. Skąd wziął się ten hipokamp w dziele sztuki? Dorota od lat współpracuje z wydawcami naukowej literatury medycznej, ilustrując wiele fachowych artykułów i rozpraw. Ludzka anatomia nie ma przed nią tajemnic. Uniwersum ciała zna w całości i to w różnych rzędach wielkości, ołówkiem, pędzelkami i farbą dotykała każdej komórki, tkanki, narządu. Z tych podróży przywozi trofea – piękne struktury zobaczone w okularze mikroskopu. Cóż więc dziwnego w tym, że Dorota wielbi szkicowniki Leonarda da Vinci? Zna je i podziwia, ale idzie swoją drogą. Nie udaje człowieka Renesansu, żyje tu i teraz w XXI wieku. Obydwoje natomiast – jednakowo – zachwytem ukazują nam swoje odkrycia precjozów kosmosu, każde na swój czas, na swoją miarę.

Leonardo da Vinci nie epatuje głębią swojej osobowości, chowa się w cieniu, za dziełami swojej genialnej myśli, zwraca naszą uwagę poza samego siebie. Poprzez swoją sztukę poznawał świat, odkrywał piękno, w którym zawarta jest prawda. Dorota Pietrzyk w tej postawie jest wierną uczennicą Leonarda. Nie

rości sobie prawa do porównań i w naszych rozmowach wielokrotnie w skromny sposób oddawała hołd swojemu mistrzowi.

Dorota podnosi z plaży kamyk.

Obraca go w palcach, przybliża do oczu, oddala, spogląda pod światło. Mam wrażenie, że mało brakuje, żeby przytknęła go do ucha i zaczęła słuchać lub smakować językiem jego mineralny smak. Kamyk ten został wypatrzony pomiędzy dziesiątkami tysięcy innych. Dlaczego akurat ten, a nie jakiś sąsiedni? Przecież nie jest ani szlachetny, ani piękniejszy, niż pozostałe. W momencie ogarnięcia go wzrokiem i podniesienia, Dorota wydobyła go z objęć natury. Teraz zachwyty rodzi się stopniowo, wraz z odślanianiem kształtów i kolorów, ujawnia się piękno i harmonia toku milionów lat i zdarzeń, które go ukształtowały. To jest bursztyn. Dorota ogląda go przez lupę, rysuje, maluje, tka, studiuje, „wsłuchuje się” w niego, znowu powraca, i rysuje, zmienia techniki, kompozycje, układy. Widziałem ją w trakcie tej roboty. Nie starała się znaleźć doskonałego sposobu na wyrażenie siebie, ale czystej drogi dla wybrzmienia piękna i prawdy tej marnej kruszynki materii. Ta praca ma w sobie coś z medytacji wzmożonej uwagi i jak każda medytacja, nie służy niczemu, do niczego nie prowadzi, jest sama dla siebie autotelicznie sobą.

Dorota słucha dźwięku lutni.

Z tego zasłuchania rodzą się prace tak niematerialne, jak sama muzyka. Inspirowane wzorami rozet umieszczanych na pudłach rezonansowych tych szlachetnych instrumentów, uwalniają się od swoich pierwowzorów, tworząc diagramy harmonii ni to galaktycznych równoważni grawitacyjnych, ni to unoszących się nieważko i przyświecających sobie swoim własnym światłem mieszkańców mrocznych oceanicznych głębin, ni to proporcjonalnych sieci gotyckich katedr. Jednoznaczne przyporządkowanie tych kształtów znaczeniom jest niemożliwe, ale i zbędne. Znowu na podobieństwo czystej muzyki, pobudzającej naszą wyobraźnię, ale wolną od zatrześnięcia w jednoznacznym rozumieniu, kształty te mogą być wszystkim, o co potrąca struny naszej wyobraźni. Tak to już jest, że prawdziwa sztuka nikogo nie okrada z marzeń i snów ale wzbogaca o nowe horyzonty.

Dorota przegryza truskawkę.

Nadgryziony owoc przed uważnymi oczyma artystki ujawnia swoje wnętrze i razem z przepołowionymi granatami, melonami, arbusami, mandarynkami staje się motywem kolejnych obrazów. Są soczyste, pełne słodyczy, ale dla niej nie stanowią jedynie źródła kulinarnych rozkoszy. Skrywają jądro i tajemnicę życia. Stają się alegorią prawdy ukrytej przed oczami profanów. To, co ukryte w mroku, to co niedostępne we wnętrzu, to co nieuchwytnie w swej eteryczności, pociąga oko i umysł wiecznie zadziwionego dziecka ukrytego w dojrzałym twórcy – poszukiwaczu.

Frapujące jest to, że dzieła Doroty Pietrzyk, powstałe z zachwyty i w zachwycie, zachwycają swoją wolnością od pustej dekoracyjności.

Nie umilają świata.

Nie upiększają go. On jest przecież wystarczająco i niedościgle piękny.

Nie dekorują ścian pałacu. Jak pisał C. S. Lewis; *Nikt przecież nie patrzy na ściany, gdy w sali jest Król.*

Raczej wyśpiewują bolesną elegancję kosmosu.